W drodze na Adres



Barbara Gruszka-Zych (z lewej) i Monica Tranströmer (z prawej), fot. Henryk Przondziono.

Barbara Gruszka-Zych

Sztokholm, gdzie żył i umarł Tomas Tranströmer, laureat literackiego Nobla 2011, wznosi się na skale. Rozmowa z

jego żoną Monicą też. Tą skałą jest jej miłość do męża i jego wierszy.

Nie ukrywa wzruszenia, kiedy pokazuje nam noblowski medal, który mąż dostał w 2011 r. – Uwielbiam wiersze Tomasa i wiem, że na niego zasłużył – mówi. Przywołuje też moment z 1990 r., kiedy po udarze uczył się pisać lewą, sprawną ręką. – Nie wiedziałam, jak ukryć wzruszenie, widząc, z jakim trudem stawia literę za literą. Jak 6-letni chłopczyk, któremu w końcu wychodzą jakieś bazgroły. Miał wtedy 59 lat i duży dorobek. Męczył się, a ja widziałam, że to tylko dwa, trzy zdania. Bałam się, czy mają jakiś sens, ale podczas lektury okazywało się, że to bardzo dobrze zapisane błyski, niesamowite olśnienia.

Te małe momenty były prawdziwym cudem w ich życiu. – Bez słów nie można kłamać – mówi Monica, przypominając o próbie prawdy, jaką przeszedł ich związek, kiedy Tomas przestał mówić. Pisząc wiersz „7 marca 1979”, jakby przeczuwał czekające go milczenie:

> Dość mając wszystkich, którzy przychodzą ze słowami,
>
> ze słowami, ale nie mówiąc nic,
>
> wyjechałem na zaśnieżoną wyspę.

> Pustkowie nie zna słów.
>
> Niezapisane stronice ciągną się na wszystkie strony!
>
> Natrafiam na ślady sarnich kopytek w śniegu.
>
> Mowa, choć żadnych słów (tłum. Czesław Miłosz).

Most

„Tomas” to najczęściej powtarzane słowo podczas tego spotkania.

> Pogrzebów przybywa
>
> coraz gęściej i gęściej
>
> jak znaków drogowych (…) Z wolna
>
> buduje się most prosto w kosmos (tłum. Leonard Neuger)

napisał w wierszu „Sypie śnieg”. Jego żona, zapraszając nas na rozmowę, dopuszcza, żebyśmy stali się budowniczymi tego mostu. Wchodzimy do mieszkania, do którego przeprowadzili się 17 lat temu. Wtedy, już na wózku, po raz pierwszy wjechał tu jej mąż. Z okien czwartego piętra zabytkowej kamienicy widać jezioro Saltsjö, z wodami słonymi jak łzy, oddzielone śluzą od słodkiego Mälaren. Pełno tu światła – na podłodze, białych ścianach i w bladych płatkach hortensji. Tomas nie doczekał lata, kiedy jest najwięcej światła w roku. – Tak bardzo chciał latem pojechać na naszą ukochaną wyspę Runmarö z niebieskim domem dziadka – mówi Monica. – Zmarł 26 marca 2015 r.

– Bał się śmierci? – pytam. – Bardzo – nie ma wątpliwości. – A jednak był dzielny. Kiedy przez ostatnie miesiące ubywało mu sił, pytałam: „Jak długo jeszcze damy radę?”. Odpowiadał gestem lewej ręki. Monica pokazuje, jak zbliżał do siebie kciuk i palec wskazujący, między którymi tworzyła się odrobina przestrzeni. Znaczyło to: „Jeszcze trochę”.

Zwykle budził się wcześnie rano. Monica prosiła, żeby trochę poczekał i dał jej pospać. O wpół do siódmej wstawali, włączała radio, żeby posłuchał najświeższych wiadomości. Podawała śniadanie na białym owalnym stole w kuchni. Jadł je też z nimi Carl Helmer Westerberg, dziadek Tomasa ze strony mamy. To o nim napisał, że jest jego starszym o 71 lat przyjacielem. Portret dziadka do dziś wisi na centralnej ścianie kuchni, sąsiadując z

drewnianym malowanym zegarem z datą 1805, również pochodzącym z rodzinnego domu poety. – Tak hałasuje, że go nie nakręcam – mówi Monica. Po śniadaniu było głośne czytanie gazet, książek, gra na fortepianie. Oczywiście cały czas dzwonił telefon.

W pokoju Tomasa wszystko jak za życia. Tylko już ponad dwa lata nikt nie otwierał leżących na fortepianie nut Bacha i Brahmsa do grania lewą ręką.



Medal noblowski, który Tomas Tranströmer dostał w 2011 r., fot. Henryk Przondziono.



Monica Tranströmer z fotografią męża, fot. Henryk Przondziono.

Śnieg

Pierwszą książką, jaką jej polecił, był „Zniewolony umysł” Czesława Miłosza. Kiedy się poznali, miała 17 lat, on był o 9 lat starszy. Należała do grupy młodych interesujących się literaturą. On, już po debiucie, miał na koncie trochę wierszy. Po ich lekturze stwierdziła, że czytała lepsze. Był lubiany przez kolegów, wesoły, zdolny, przystojny i – widziała to – miał talent. Po szkole zaczęła pracować w księgarni. On, po psychologii, którą studiował równolegle z historią literatury i religii, został asystentem w Centrum Psychologii w Sztokholmie. Uczył się też

gry na fortepianie i organach.

Monica: – Pierwszy raz spotkaliśmy się w 1957 r. Bardzo szybko zostaliśmy parą. Rok później byliśmy już małżeństwem. To taka ekspresowa miłość. W wierszu „C-dur” zapisał:

> Kiedy po spotkaniu z nią wyszedł na ulicę
>
> wirował w powietrzu śnieg. (…)
>
> wszyscy uśmiechali się za postawionymi kołnierzami.
>
> Ale swoboda!
>
> I wszystkie znaki zapytania poczęły śpiewać o istnieniu Boga.

Niedawno znalazła jego notatki z młodości z zapisanym odkryciem, że miłość erotyczna i sztuka nie są wrogami religii, ale próbują odsłonić rąbek tajemnicy. To był czas, kiedy w szkole średniej, dzięki nauczycielowi religii i filozofii Göscie Kellermanowi, zbliżył się do Boga.

Monica: – Rodzice Tomasa rozwiedli się, kiedy miał trzy lata. Ojciec zniknął z jego życia. Wychowała go kochająca mama Helmy, wierząca, ale nie praktykująca protestantka. Kiedy

skończył 12 lat, miał przystąpić do konfirmacji. Ale jako jedyny w grupie powiedział pastorowi, że nie chce tego, a mama zaakceptowała jego decyzję. Już jako 17-latek wierzył, ale jeszcze nie chodził do kościoła. Dopiero w latach 70. zaczął regularnie uczestniczyć w nabożeństwach. Czuł się dobrze blisko Boga w cichej przestrzeni kościoła.

Anioł bez twarzy

Dwa lata po ślubie przeprowadzili się ze Sztokholmu do Linköping. Tomas dostał tam posadę psychologa w poprawczaku. Dzięki jego metodom terapii aż 30 proc. osadzonych wracało do normalnego życia. Po latach zdarzało się, że późnym wieczorem odbierała telefony od wychowanków męża. Kiedyś zadzwonił ktoś mocno pijany. Mówił, że pan Tomas obiecał, że po 50 latach będą wspólnie czytać listy, które pisali do niego, wyobrażając sobie, co będą robić, gdy wyjdą na wolność. „Minęły dopiero 32 lata, nie chcę dłużej czekać". Widać było, że się stęsknił.

Mówiono, że jest najbardziej roztargnionym psychologiem na świecie. Na zdjęciu przed domkiem na wyspie Runmarö widać, jak siedzi i czyta, a na wygaszonym grillu leży jego czarny kapelusz.

Monica: – To bardzo typowe dla niego. Gdzie było wolne miejsce, tam kładł swoje rzeczy.

W Linköping urodziły się im córki Emma i Paula.

Monica: – Tomas szybko zrozumiał, że psychologia nie rozwiąże wszystkich problemów. Stracił naiwność, kiedy pracował z młodymi przestępcami, ale wiarę w człowieka zachował do końca.

> (…) Objął mnie anioł bez twarzy i zaszeptał przez całe ciało:
>
> „Nie wstydź się tego, że jesteś człowiekiem, bądź dumny!
>
> W twoim wnętrzu otwiera się sklepienie za sklepieniem bez końca”

– napisał w wierszu „Łuki romańskie”. Potem przenieśli się do Västerås, gdzie na pół etatu pracował z trudną młodzieżą z rodzin bezrobotnych i pisał. Jego wiersze doceniono już wtedy w USA. Spopularyzował je tam poeta Robert Bly. Monica zaczęła studiować pielęgniarstwo.



Strona tytułowa tomiku poezji Tomasa Tranströmera z jego autografem, biblioteka Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

W środku krzyża

Czas przed udarem Tomas miał napięty do granic ludzkich możliwości. Pracował na pół etatu jako psycholog, ale też w komisji nowego tłumaczenia Biblii, podróżował po świecie zapraszany na spotkania autorskie.

Monica: – Poeci potrafią wiele rzeczy robić naraz, ale wtedy Tomas przekroczył najwyższy poziom stresu. Poważnie się obawiałam, że dostanie zawału. Nie myślałam, że to będzie udar,

bo zwykle powala starych, a Tomas nie był stary. Tego dnia miał jechać z Västerås do Sztokholmu, ale bolała go głowa, skarżył się na podwójne widzenie. Poszedł do łazienki, upadł, przytomność odzyskał w szpitalu. Był przeziębiony i to sprawiło, że rokowania były złe. Stracił mowę, miał niedowład prawej strony ciała.

Monica: – Nawet wtedy zachował humor. Nie mógł wymówić słowa, a przedtem cały czas mówił. „Teraz jestem wolny" – dawał do zrozumienia.

Przez 6 tygodni pobytu w szpitalu odchodziła od niego tylko po to, żeby od 9.00 do 10.00 rano odbierać w domu telefony i informować bliskich o stanie jego zdrowia.

Monica: – Trochę mi żal, że w tamtym okresie byłam nieobecna jako matka. Oddałam się na wyłączność mężowi. Córki miały już po 20 lat, ale też mnie potrzebowały. Zupełnie zapomniałam o sobie. Liczył się tylko Tomas. To było naturalne, bo przyszła wielka katastrofa i trzeba było wszystkie siły skierować na to, żeby się z niej podnieść. Radzono jej, żeby przeszła na pół etatu, a po godzinach zajmowała się mężem. Zdecydowali, że będą walczyć razem, dlatego zrezygnowała z pracy. To był czas, jak napisał w wierszu „Na wolne powietrze", kiedy nie tylko na ułamek sekundy znajdowali się „w środku krzyża".



Barbara Gruszka-Zych w domu państwa Tranströmerów, fot. Henryk Przondziono.

Fortepian

Dla Moniki udar męża był szokiem. Nie wiedziała, czy za jakiś czas nie uderzy ze zdwojoną siłą. Żeby nie ulegać rozpaczy, koncentrowała się na teraźniejszości.

Monica: – Artyści wielkiego formatu, jak Tomas, mają wielkie siły do walki.

– A skąd Pani czerpała siłę? – pytam. – Nie było trudno ją mieć. Tomas nie cierpiał na depresję, miał ogromną ochotę do życia, planował, był nadal twórczy. Poza tym moja dotychczasowa

praca pielęgniarki była męcząca i poczułam ulgę, że mogę być tylko z nim. Pół roku przed udarem kupili fortepian, bo tęsknił za graniem. W ramach rehabilitacji nie tylko próbowali stawiać go do pionu, uczyli czytać, ale i grać.

Monica: – Terapeuci uważają, że rehabilitując, trzeba skupić się na tym, co sprawia choremu największe trudności. Kiedy znaleźliśmy się na początku drogi, zdecydowaliśmy się doskonalić to, co umiał najlepiej – głośne czytanie i grę na fortepianie.

Po udarze właściwie sylabizował słowo za słowem. Wtedy zaczęła mu głośno czytać po kilka godzin dziennie. Wybierali lektury, które były interesujące także dla niej, żeby się nie nudziła – „Idiotę" Dostojewskiego, „Klub Pickwicka" Dickensa.

Monica: – To nie było tylko zwyczajne siedzenie obok siebie w fotelach. Ogarniało nas wtedy niespotykane dotąd uczucie bliskości. Może z tej opowieści wynika, że żyliśmy w idealnej harmonii. Zdarzały nam się jednak też momenty frustracji, nieporozumień, zniecierpliwienia – zastrzega się. – Szybko zrozumieliśmy, że to do niczego nie prowadzi. Jest zadowolona, że to ona czuwała przy nim, a nie profesjonalny opiekun: – Prędzej czy później byłby znudzony opieką nad Tomasem i przestałby słuchać, co mówi. Ona zawsze była na niego uważna.

Kości

Przez 30 lat przed chorobą byli ze sobą tak blisko, że rozumieli się bez słów. Kiedy jedno zaczynało mówić, drugie wiedziało, jak skończyć. To się przydało, kiedy metodą prób i błędów uczyła się zgadywać, co mąż ma na myśli. Gdy wydawał niezrozumiałe dźwięki, domyślała się, co chce przekazać. Czuła, że mówi nie to, co powiedziałby ze swoją erudycją, ale akceptował prawie wszystko. Chętnie dawał wywiady, a wtedy ona była jego głosem. Jakby uprzedził to doświadczenie, pisząc w „Artyście na Północy”:

> Pola bitewne w nas
>
> gdzie my, Kości Zmarłych
>
> bijemy się by ożyć.

Przed chorobą nigdy nie zaglądała do jego brudnopisów. Miała respekt do innego świata, jakim było jego pisanie. Dopiero kiedy coś skończył, mówił: „Przeczytaj, jestem gotowy”. Po udarze zapiski, pamiętniki stanęły dla niej otworem. Była asystentką,

sekretarką i pielęgniarką męża. Kiedy prosił ją o notatki sprzed 25 lat, znajdowała je i kontynuowali pracę od wybranego fragmentu. Przepisywała nowe teksty na maszynie i powtórnie robiła to po korektach. Kiedy zauważała, że brakowało mu jakiegoś słowa, uzupełniała je, a on się z tym zgadzał.

Monica: – Tomas żył 25 lat po udarze. To prawdziwy rekord. Nieustannie dawaliśmy sobie jakiś kawałek czasu, pytając: „Może jeszcze pół roku uda się nam być razem?".

– Wiem, że nie kocha się za coś – mówię. – Jednak muszę zapytać, za co kochała Pani Tomasa? Jaki był? – Nie kochałam go w części, ale w całości, jako osobę – odpowiada. – Niemożliwe jest opowiedzenie, jaki był. Ci, którzy go nie znali, nie pytają o to. Ci, którzy go znali, wiedzą. Mogę powiedzieć, że był poetą, autorem tych tomów wierszy. Przez nie prowadzi najprostsza droga do niego.



Od lewej: Jan Henric Swan – tłumacz, Barbara Gruszka-Zych i Monica Tranströmer, fot. Henryk Przondziono.

Nowe życie

Przez 25 lat prowadzili dom otwarty. Zawsze pełen gości, którzy chcieli przebywać blisko nich. Nie myślała wtedy, jak należy żyć z innymi, to wychodziło naturalnie.

Monica: – Po śmierci Tomasa dostałam nowe życie. Nigdy dotąd nie byłam sama, tylko z nim. Przedtem przyjaciele przychodzili tutaj, teraz ja muszę do nich jechać. Wraca zadowolona, ale potwornie zmęczona. Tak jakby cały wieczór mówiła w dawno nieużywanym języku. Albo musiała nasłuchiwać rozmówców z

wielką uwagą, jak ktoś głuchy, do kogo docierają strzępki słów. Teraz stara się wypracować inny kod niż ten, którym porozumiewali się z mężem. Uczy się być sama, obserwując innych samotnych, jak sobie radzą. – Trudno odpowiedzieć na pytanie: „Czy boisz się śmierci, czy wierzysz w Boga?" – mówi. – Większość z nas odpowiedziałaby: „Czasami – tak, czasami – nie".

– Ludzie, którzy czytają Pani męża, odkrywają Boga – przerywam jej. – Zgadza się, bo Tomas był głęboko wierzący – potwierdza. Otwiera na chybił trafił jego tom i czyta wiersz „Rozproszona gmina":

> Wyraziliśmy zgodę i pokazaliśmy nasze domy.
>
> Przybysz pomyślał: dobrze mieszkacie.
>
> Rudery we wnętrzu są waszym.
>
> Wewnątrz kościoła: sklepienia, kolumny
>
> białe jak gips, jak gipsowy bandaż
>
> na złamanej ręce wiary. (…) Somnanbulik Nikodem w drodze

> na Adres. Kto ma Adres?
>
> Nie wiem. Ale to tam idziemy.

– To postscriptum do naszej rozmowy – uśmiecha się.

Dziękuję Janowi Henrikowi Swahnowi za pomoc w tłumaczeniu rozmowy z języka szwedzkiego.

Artykuł ukazał się w „Gościu Niedzielnym” 22/2017.
http://gosc.pl

W 2000 roku ukazał się przepiękny film dokumentalny Bożeny Garus-Hockuby „Przedmowa do ciszy” o Monice i Tomasie Tranströmerach. Podczas zdjęć poeta był już od wielu lat częściowo sparaliżowany. Żona jest więc jego ustami i przewodnikiem w meandrach życia. Widz czuje, że małżonkowie wiedząc o sobie wszystko i obdarzając się wielką miłością, stali się jednym. W filmie pokazano, jak Tomas Tranströmer gra lewą ręką. specjalnie dla niego skomponowane utwory. Widzimy dom z dzieciństwa, albumy, wspomnienia, szkołę w której pracował poeta. O wszystkim opowiada żona, a on JEST.

Miałam okazję widzieć film w POSK-u w Londynie w 2017 roku. Na projekcji była też autorka dokumentu. Mówiła, że dotarła do poety i jego żony przez rodzinę Jastrunów – Tomasza syna Mieczysława Jastruna i jego matkę Mieczysławę Buczkównę. Tomasz Jastrun był attaché kulturalnym i dyrektorem Instytutu Polskiego w Sztokholmie i znał rodzinę Tranströmerów. Bożena Garus-Hockuba podkreślała też, jak wielka prywatność cechuje Szwedów. Na realizację filmu małżeństwo zgodziło się tylko dlatego, że film będzie pokazywany w dalekiej Polsce, a nie w Szwecji.

Więcej o filmie:

http://www.filmpolski.pl/fp/index.php?film=4212777

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Zapomniane artystki



Katarzyna Szrodt

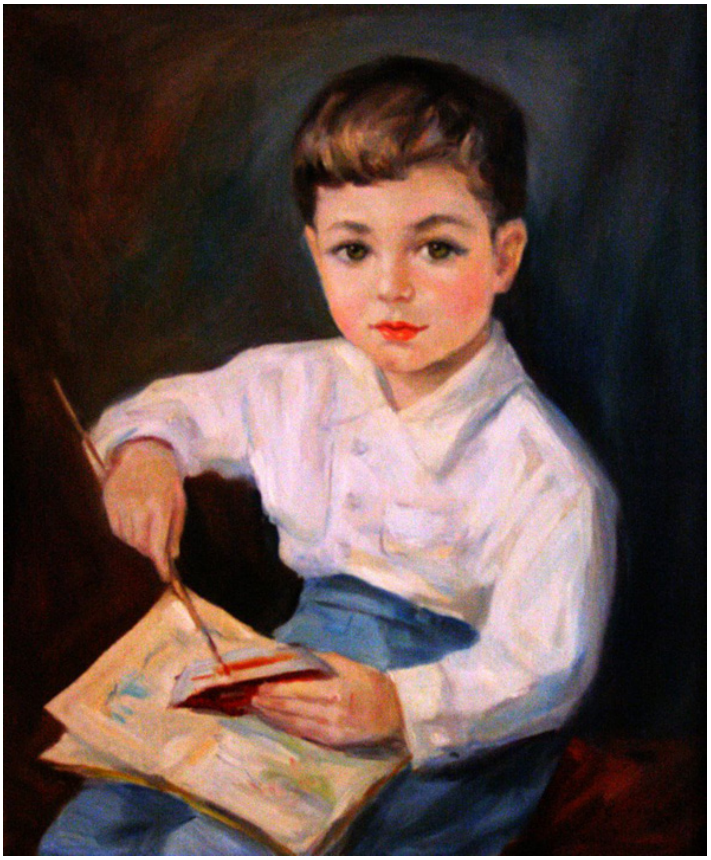
Niewiele wiem o tych malarkach – tyle, ile znalazłam w prasie polonijnej i kanadyjskiej i w nielicznych publikacjach. Nie zachowały się zdjęcia ich prac. Chcę napisać o nich na Culture Avenue bo, mam nadzieję, odezwą się osoby posiadające o nich jakieś dodatkowe informacje lub mogące udostępnić zdjęcia prac. Każda wiadomość jest cenna w kontekście mającego powstać w Polskim Instytucie Studiów nad Sztuką Świata, słownika polskich artystów mieszkających i tworzących poza krajem.

Odtwarzanie artystycznej działalności polskich artystów malarzy, którzy znaleźli się na emigracji w Kanadzie po zakończeniu drugiej wojny światowej, przypomina odczytywanie zatartej mapy z niewielką ilością danych. Jak potoczyły się losy **Eugenii Greinert**, **Ewy Jaworskiej**, **Janiny Lubojańskiej**, **Ewy Lubaczewskiej-Schon**, **Haliny Ptaszyńskiej-Lisowskiej**, których twórczość gdzieś rozpierzchła się, a przecież były, tworzyły, chciały pozostawić po sobie ślad.

Eugenia Greinert (urodzona w 1914 w Płocku – zmarła w 1997 w Vancouver).

Przed wojną uznanie przyniosły jej miniatury malowane na płytkach z kości słoniowej i portrety. Po namalowaniu portretu prezydenta Mościckiego i kilku ministrów polskiego rządu, malarka otrzymała studio w pobliżu Belwederu. Wywieziona do obozu pracy w Niemczech, po wyzwoleniu najpierw wyjechała do Paryża, a po kilku miesiącach, w 1947 roku, wyemigrowała do Kanady z obowiązkiem dwuletniego kontraktu pracy. Pracowała jako pomoc domowa w polskiej parafii w prowincji Saskatchewan, w wolnych chwilach malując obrazy religijne i dekoracje kościelne. Po zakończeniu kontraktu wyjechała do Winnipeg, gdzie dostała zamówienie na wykonanie portretów

członków parlamentu Manitoby. Potem podjęła się zlecenia w Calgary, po skończeniu którego otworzyła studio malarskie w Edmonton. Pod koniec życia osiadła w Vancouver.



Eugenia Greinert, portret, 1954 r.



Eugenia Greinert, portret, 1954 r.

Ewa Jaworska (urodzona pod koniec lat 20. – zmarła w 2013 roku w Ottawie).

Do Kanady przyjechała w 1948 roku i osiadła w Ottawie. Artystka tworzyła rzeźbę i ceramikę. W 1956 roku na *Canadian National Exhibition* w Montrealu, w stoisku polskim artystka prezentowała swoje prace. W 1962 roku, na wystawie w *National Gallery* w Ottawie, w dziale ceramiki znalazły się prace Jaworskiej. Artystka współpracowała z *Ottawa Robertson*

Gallery.

Janina Lubojańska (urodzona w 1934 roku w Grudziądzu).

Studiowała architekturę i malarstwo w Szkole Sztuk Pięknych w Gdańsku. Do Kanady przybyła w 1959 roku i podjęła pracę pedagoga w *Central Technical School* w Toronto. W 1964 roku praca artystki otrzymała nagrodę dla najlepszego obrazu olejnego na *Autumn Festival of Arts* w Toronto. W 1967 roku, na 27 *Annual Western Ontario Exhibition of Art* w London, praca Lubojańskiej została nagrodzona. Od końca lat 60. artystka zamieszkała w London (Ontario), gdzie udzielała się w społeczności polskiej i kanadyjskiej. *Globe and Mail* napisał o obrazach Janiny Lubojańskiej:

> The human face with its aspects of evil and good get perspective research from Mrs. Lubojanska.

Na dużej wystawie z okazji 1000-lecia Polski, w London (Ontario), prezentowano obrazy artystki.



Janina Lubojańska



Janina Lubojańska, z kolekcji Zofii i Floriana Śmiejów.

Ewa Lubaczewska-Schon (urodzona we Lwowie pod koniec lat 20. – zmarła w Toronto w 1987 roku).

Absolwentka *Central School of Arts and Crafts* w Londynie, gdzie w latach 1944-1948 studiowała ilustrację książkową i pracowała jako ilustrator w polskim wydawnictwie. Do Kanady przybyła w 1952 roku. W latach 1973-1976 studiowała w *Ontario College of Arts* w Toronto. Tematem obrazów Lubaczewskiej był świat

duchów, fantazji, zjaw z bajki i ze snu. W dużym omówieniu twórczości malarki Andrzej Pawłowski, krytyk sztuki, napisał:

> Świat malowany przez Lubaczewską jest światem intymnym, światem salonu, ogrodu. W kwiatach i scenach tanecznych istnieją jakieś dalekie odbitki szkoły polskiej Cybisa, trochę Stryjeńskiej. Śmierć i choroba mają tu swoje odrębne miejsce.

Halina Ptaszyńska-Lisowska (urodzona na początku lat 20., zmarła pod koniec lat 80.).

Studiowała malarstwo w Wilnie w pracowni Ferdynanda Ruszczyca. Brała udział w powstaniu warszawskim, a po jego upadku wywieziona została do obozu w Ravensbruck. Przeżycia wojenne nadwyrężyły zdrowie artystki. W 1952 roku malarka zamieszkała w Kanadzie, w Toronto. Uczyła rysunku w letniej szkole malarstwa Schneiderów w Actinolite. Ulubionymi tematami jej były kwiaty i pejzaże. Pod koniec życia pojawił się etap religijny. Dziełem artystki jest ołtarz Trójcy Świętej namalowany dla kościoła w Sifton w Manitobie oraz kilka olei w

stylu religijnego symbolizmu.

Pięć artystek, których zdjęć prac poszukuję, by ocalić je dla badaczy polskiej twórczości emigracyjnej. Dorobek artystów emigracyjnych jest ważnym rozdziałem polskiej historii sztuki powojennej i warto odnajdować zaginione tropy.

Skrawki Cierpienia

Bożena U. Zaremba

O ks. Stanisławie Zuske ur. 23 września 1903 r. w Pierzchnie, zm. 4 września 1942 w Dachau (lub w Hartheim)



Obóz koncentracyjny w Dachau, wyzwolony 29 kwietnia 1945 r.

Wizyta w Ellis Island i zwiedzenie Statuy Wolności w Nowym Jorku miały być celebracją niedawno otrzymanego przeze mnie obywatelstwa amerykańskiego, ale wrażenia z tej wizyty wzbudziły we mnie dość niespodziewane refleksje. Muzeum Ellis Island uderzyło mnie czystością, pustką i ciszą. Jedynie zdjęcia przybyłych zza morza tłumów czekających na swoją kolejkę do inspekcji przywołują echa długiego, hałaśliwego i często poniżającego procesu przyjęcia do grona emigrantów. Trauma ludzi, którzy pozostawili za sobą odległe o tysiące kilometrów domy, swoich bliskich, kulturę oraz swoje korzenie i zdecydowali się na wielką niewiadomą musiała być niewyobrażalna.

Przeżywać ją musiał także mój wujek, **Stanisław Zuske** (brat babci od strony mojej mamy), który przyjechał do Ameryki pod koniec lat 20. do swojej narzeczonej, chociaż czy właśnie do Ellis Island nie wiadomo, zwłaszcza, że po 1924 r. placówka przestała być głównym portem imigracyjnym. Podobno coś w jego dokumentach wzbudziło zastrzeżenia urzędników i został odesłany z powrotem. Rozczarowanie musiało być równe temu, jakie przeżywali inni niedoszli emigranci.

Niedługo po powrocie do Polski, wujek Stanisław postanowił poświęcić się kapłaństwu i został studentem teologii i filozofii Seminarium Duchownego w Poznaniu. Byłoby uproszczeniem stwierdzenie, że decyzja ta wynikała wyłącznie z żalu nad niespełnioną miłością. Rodzina pradziadków była bardzo religijna i wiara była traktowana zbyt poważnie, żeby uciekać od osobistego zawodu w mury seminarium. Wujek został wychowany w poczuciu szacunku dla obowiązku, a od swojego ojca, gimnazjalnego nauczyciela łaciny, odziedziczył pasję do kształtowania młodych umysłów. Zdał się na opatrzność losu.

Święcenia kapłańskie **Stanisław Zuske** otrzymał 20 lutego 1932 roku i został skierowany do swojej pierwszej placówki duszpasterskiej w parafii w Krotoszynie, w archidiecezji poznańskiej. W tamtejszym męskim gimnazjum im. Hugona Kołłątaja, pełnił również funkcję prefekta. We wrześniu 1938 r. Prymas Polski skierował go do Kwidzyna, które wówczas

znajdowało się na terenie państwa niemieckiego, do tamtejszego męskiego Polskiego Gimnazjum, jednego z dwóch gimnazjów polskich w III Rzeszy. Szkoła ta wyróżniała się wysokim poziomem nauczania i dbałością o kulturę polską i w swoich założeniach miała być kuźnią polskiej elity inteligenckiej. Ks. Stanisław został prefektem i nauczycielem religii oraz sprawował pieczę nad spółdzielnią uczniowską.

Jak pisze Krzysztof Kozłowski w artykule "Niezwykle odważny i cierpliwy" z 2012 r.:

> Ks. **Stanisław Zuske** był gorliwym kapłanem, lubianym i cenionym przez grono pedagogiczne oraz młodzież gimnazjalną. W codziennej pracy sumiennie wypełniał kapłańskie obowiązki: prowadził z gimnazjalistami modlitwy poranne i wieczorne, nauczał religii, sprawował dla nich Mszę św., wygłaszał kazania, przewodniczył nabożeństwom, organizował i prowadził szkolne rekolekcje adwentowe i wielkopostne. Zajmował się również przygotowaniem chłopców do Pierwszej Komunii Świętej. Był ich spowiednikiem i powiernikiem. Odznaczał się szczególnym nabożeństwem do Najświętszej Maryi Panny – wprowadził zwyczaj odśpiewywania po każdym nabożeństwie pieśni „Bogurodzica". Praca prefekta w polskim gimnazjum znajdującym się na terytorium Rzeszy Niemieckiej wymagała

> od niego niezwykłej odwagi i cierpliwości.

W latach 30. Kwidzyn był miejscem nasilających się antypolskich nastrojów i społeczność polska była narażona na szykany i prześladowania. Na początku wakacji letnich 1939 r. wuj Stanisław odwiedził siostrę i ta wizyta szczególnie zapadła jego siostrzenicy, Maryli w pamięci: wuj był zaniepokojony, wręcz roztrzęsiony ówczesną sytuacją polityczną. Widziała go wtedy po raz ostatni. Zaraz przed wybuchem II wojny światowej, 25 sierpnia 1939 r., hitlerowcy aresztowali nauczycieli i uczniów Polskiego Gimnazjum, w tym ks. Stanisława. Osadzono ich najpierw w Tapiau w zakładzie dla psychicznie chorych, potem w Grünhoff pod Królewcem. W większości przypadków Niemcy nie przedstawiali księżom żadnych powodów aresztowania, ale wiadomo było, że kler uważany był za grupę niebezpieczną dla nazistowskiej filozofii, nie tylko ze względu na chrześcijańskie wartości, ale w Polsce pozycja księży i ich wpływ na społeczeństwo było szczególnie silne, a oni sami byli uważani za liderów inteligencji, z założenia grupy stanowiącej zagrożenie dla ideologii Hitlera.

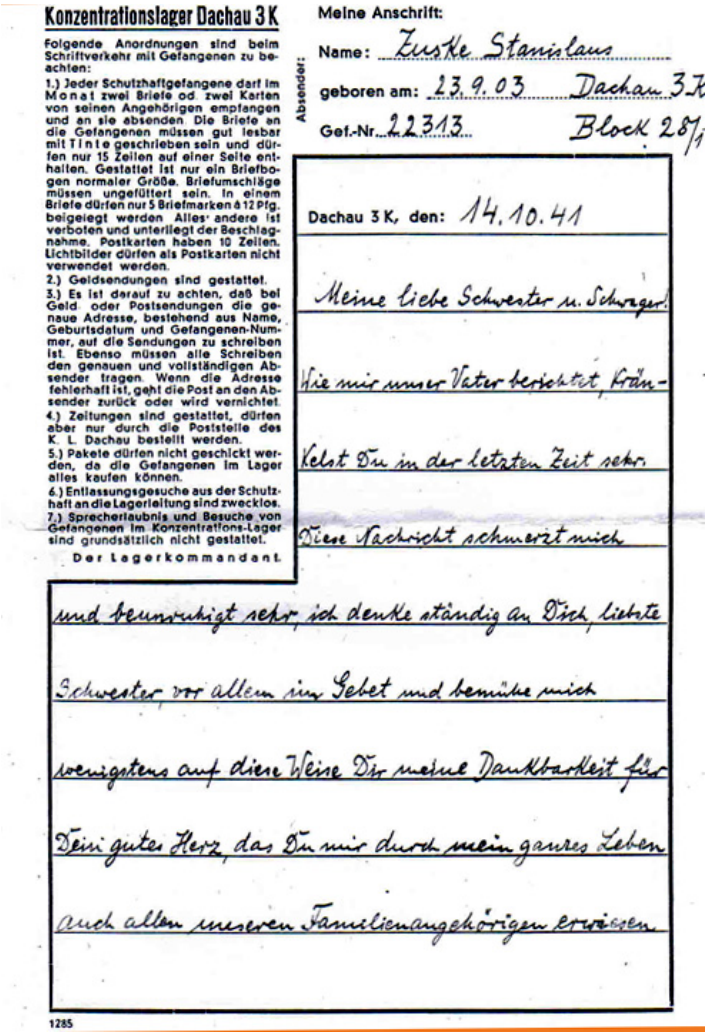
Kozłowski pisze dalej, że ks. Stanisław podczas aresztowania:

> otaczał opieką duchową nie tylko swoich uczniów, ale też nauczycieli. Wszystkim dawał nadzieję, prowadził codzienną

> modlitwę i apele.



Ks. Stanisław Zuske, fot. z archiwum rodzinnego Bożeny U. Zaremby.



Konzentrationslager Dachau 3K

Folgende Anordnungen sind beim Schriftverkehr mit Gefangenen zu beachten:

1.) Jeder Schutzhaftgefangene darf im Monat zwei Briefe od. zwei Karten von seinen Angehörigen empfangen und an sie absenden. Die Briefe an die Gefangenen müssen gut lesbar mit Tinte geschrieben sein und dürfen nur 15 Zeilen auf einer Seite enthalten. Gestattet ist nur ein Briefbogen normaler Größe. Briefumschläge müssen ungefüttert sein. In einem Briefe dürfen nur 5 Briefmarken à 12 Pfg. beigelegt werden. Alles andere ist verboten und unterliegt der Beschlagnahme. Postkarten haben 10 Zeilen. Lichtbilder dürfen als Postkarten nicht verwendet werden.

2.) Geldsendungen sind gestattet.

3.) Es ist darauf zu achten, daß bei Geld- oder Postsendungen die genaue Adresse, bestehend aus Name, Geburtsdatum und Gefangenen-Nummer, auf die Sendungen zu schreiben ist. Ebenso müssen alle Schreiben den genauen und vollständigen Absender tragen. Wenn die Adresse fehlerhaft ist, geht die Post an den Absender zurück oder wird vernichtet.

4.) Zeitungen sind gestattet, dürfen aber nur durch die Poststelle des K. L. Dachau bestellt werden.

5.) Pakete dürfen nicht geschickt werden, da die Gefangenen im Lager alles kaufen können.

6.) Entlassungsgesuche aus der Schutzhaft an die Lagerleitung sind zwecklos.

7.) Sprecherlaubnis und Besuche von Gefangenen im Konzentrations-Lager sind grundsätzlich nicht gestattet.

Der Lagerkommandant.

Absender:

Meine Anschrift:

Name: Zuske Stanislaus

geboren am: 23.9.03 Dachau 3K

Gef.-Nr. 22313 Block 28/1

Dachau 3K, den: 14.10.41

Meine liebe Schwester u. Schwager!

Wie mir unser Vater berichtet, Krän-

kelst Du in der letzten Zeit sehr.

Diese Nachricht schmerzt mich

und beunruhigt sehr, ich denke ständig an Dich, liebste

Schwester, vor allem im Gebet und bemühe mich

wenigstens auf diese Weise Dir meine Dankbarkeit für

Dein gutes Herz, das Du mir durch mein ganzes Leben

auch allen unseren Familienangehörigen erwiesen

1285

Ks. Stanisław Zuske, list z Dachau do siostry, fot. z archiwum rodzinnego Bożeny U. Zaremby.

Młodzież pod koniec września zwolniono, natomiast ks. Stanisław został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Hohenbruch, potem do Stutthof, Sachsenhausen i w końcu do Dachau, gdzie otrzymał numer obozowy 22313. Według mojej mamy to właśnie w obozie w Dachau, wuj był poddawany eksperymentom medycznym mającym na celu zbadanie odporności organizmu ludzkiego na niskie temperatury. W tym celu zanurzano go w basenie z wodą, po czym zamrażano i odmrażano. Nie udało mi się nigdy ustalić skąd o tym wiedziała. A z drugiej strony, był przecież Pilecki, był i Karski – jakoś

informacje o okrucieństwach obozowych przedostawały się na zewnątrz. Byli świadkowie.

Kilka lat temu zupełnie przypadkowo wpadła mi w ręce książka „Priestblock 25487”, wspomnienia katolickiego księdza z Luxemburga, ks. Jeana Bernarda, który był więziony w Dachau. Jakież było moje zdumienie, kiedy na stronie 92 ks. Bernard wspomina towarzysza niedoli, polskiego księdza „Stani Suske”, z którym prowadzili rozmowy po francusku. Kilkanaście stron dalej ten „miły Polak z Poznania” przedstawiony jest już jako człowiek u kresu sił fizycznych, ale czy powodem był głód, czy nadmierny wysiłek, czy medyczne eksperymenty – tego nie wiadomo.

Po wujku został jeden list napisany (po niemiecku) 14 października 1941 r. do siostry (prawdopodobnie Zofii) i szwagra, w którym wyraża zaniepokojenie stanem zdrowia siostry i losem swojej rodziny. List ma wyraźną pieczęć – poświadczenie, że został napisany zgodnie z zasadami obozowej korespondencji.

Według jednych źródeł **Stanisław Zuske** zginął 12 sierpnia 1942 w Dachau, inne podają, że ze względu na dramatyczny stan zdrowia został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Hartheim koło Linzu, gdzie zginął w komorze gazowej 4 września 1942 r. Został włączony w poczet warmińskich męczenników, którzy zginęli śmiercią męczeńską podczas II wojny światowej, a

15 września 2007 roku w Archidiecezji Warmińskiej rozpoczęto jego proces beatyfikacyjny.

Historia wuja ks. Stanisława stawia więcej pytań niż odpowiedzi, i mimo, że jedynie wyobraźnia może uzupełnić nieznane jej karty, z wyrywkowych informacji maluje się obraz człowieka silnej wiary, żarliwie oddanego służbie kapłańskiej, wspaniałego nauczyciela oraz troskliwego brata i syna. Taki obraz trzymali w swoich sercach jego rodzice, a moi pradziadkowie. Podobne wspomnienia zapewne mieli o swoim pierwszym synu Edmundzie (większość źródeł jego pomija), który zginął w I wojnie światowej, potem jego bracie Józefie, który był więziony w Auschwitz i tam prawdopodobnie zginął. Przeżył ich jedynie Antoni, który ledwo przeszedł przez obóz dla jeńców wojennych w Murnau, jednak zmarł bezdzietnie już w latach 50-tych. Te historie niesamowicie zaciążyły emocjonalnie na naszej rodzinie, która do dzisiaj ma poczucie niebywałej straty. Pozostały dwie siostry – z ich kilkudziesięciu potomków kilkunastu mieszka w Ameryce. Czasem sobie zadaję pytanie „Co by było, gdyby…?" Co by było, gdyby wuja Stanisława nie odesłano z amerykańskiego portu? Prawdopodobnie szukałabym teraz jego potomków, a nie skrawków jego cierpienia.

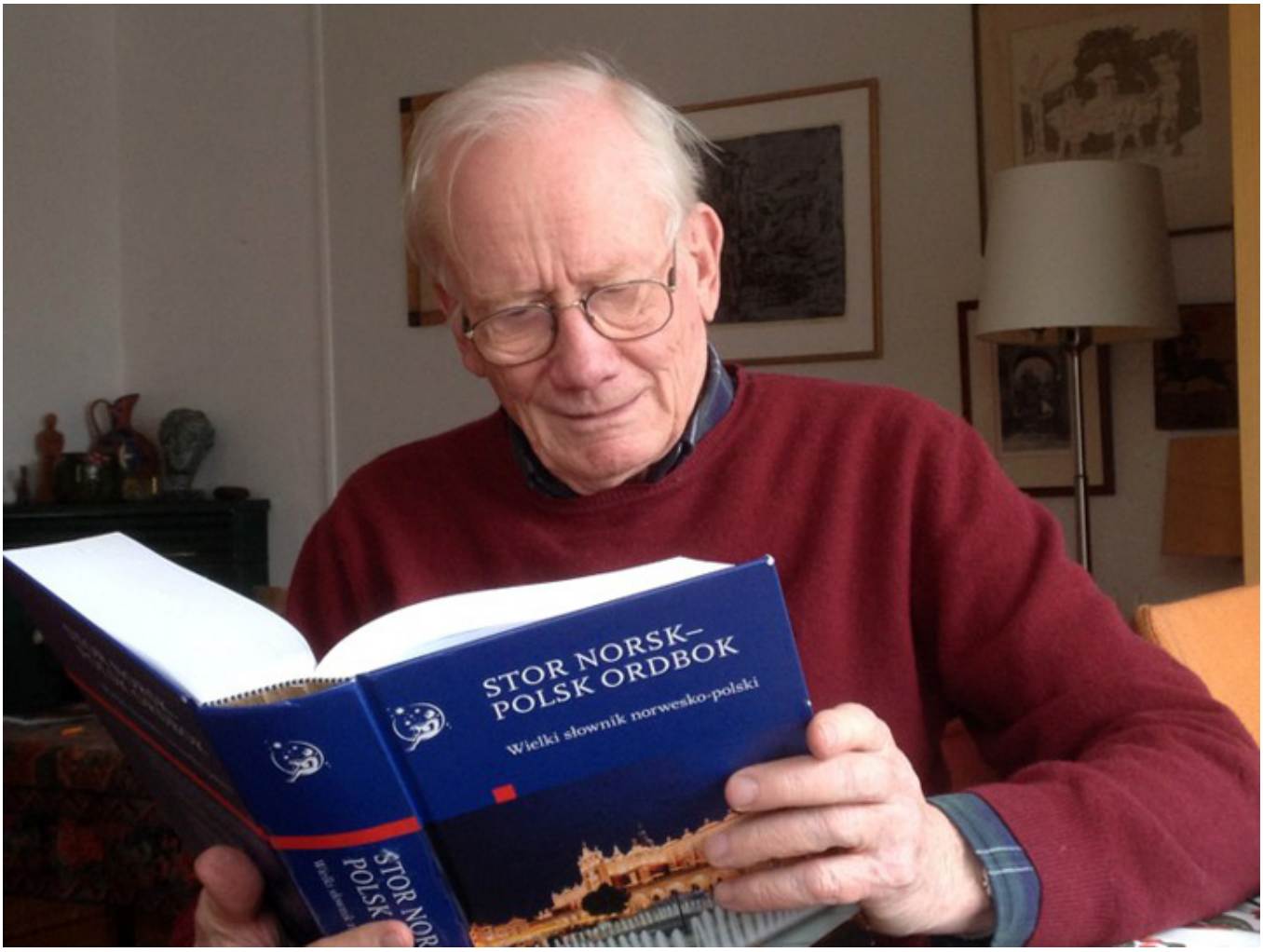
Źródła: rozmowy z siostrzenicami Stanisława Zuske – moją

mamą Urszulą i jej kuzynką Marylą; Encyklopedia Warmii i Mazur; Krzysztof Kozłowski, „Niezwykle odważny i cierpliwy” („Posłaniec Warmiński” 49/2012); Jan Domagała „Ci, którzy przeszli przez Dachau” (Warszawa-Pax 1957); Jean Bernard „Preistblock 25487” (Zaccheus Press, 2007).

Artykuł został napisany na zamówienie Stowarzyszenia „Solidarni” w Monachium, do ich książki upamiętniającej ofiary obozu koncentracyjnego w Dachau.

Z miłości do języka

W ubiegłym roku ukazał się „Stor norsk-polsk ordbok” (Wielki słownik norwesko-polski) owoc ponad dwudziestoletniej pracy Ole Michaela Selberga. Jest to największy i najlepiej opracowany słownik, jaki istnieje na rynku. Każdy, kto uczy się języka norweskiego lub pragnie pogłębić swoją wiedzę na ten temat powinien go mieć.



Ole Michael Selberg, fot. Marta Tomczyk-Maryon.

Marta Tomczyk-Maryon

Zanim porozmawiamy o słowniku, chciałabym się dowiedzieć jaka była pana droga do języka polskiego? W jaki sposób rodowity Norweg stał się znakomitym tłumaczem i leksykografem?

Ole Michael Selberg

– Można powiedzieć, że moja droga do języka polskiego wiodła przez… język rosyjski. Gdy byłem w wojsku, poznałem język rosyjski i zostałem tłumaczem wojskowym. Pierwszy kontakt z

językiem polskim miałem w roku 1963, kiedy przyjechałem do Warszawy. Była wtedy tzw. zima stulecia. Wprowadziłem się do akademika na Anielewicza w Warszawie i było tam strasznie zimno, ponieważ pociągi z węglem ze Śląska utknęły po drodze.

Był pan Norwegiem marznącym w Polsce, ciekawe.

– Byłem jednak zahartowany, więc nie cierpiałem tak bardzo. Jednak ówczesna Warszawa, szczególnie zimą, wywierała przygnębiające wrażenie: chodziło się tam po mieście, gdzie strasznie wiało, szczególnie przy Pałacu Kultury. Wymagało to trochę przyzwyczajenia. Na Anielewicza mieszkałem w jednym pokoju z Bułgarem, który doktoryzował się z geografii, ale miał trochę „trudny" – jak na tamte czasy – życiorys, bo jego ojciec był popem. W pokoju obok mieszkał natomiast Peter Raina, historyk pochodzenia indyjskiego, który przeniósł się potem do Berlina Zachodniego i wydał szereg książek o polskiej historii, m.in. o kardynale Wyszyńskim. Było to dość ciekawe towarzystwo. Potem wróciłem do Norwegii i wybrałem język polski jako specjalizację. W latach 70. dużo podróżowałem do Polski jako tłumacz. Po raz pierwszy było to w 1967 r. z ówczesnym norweskim ministrem spraw zagranicznych Johnem Lyngiem. W tym czasie polskim ministrem spraw zagranicznych był Rapacki. Potem jeździłem z różnymi ministrami, towarzyszyłem również polskim politykom, którzy tu przyjeżdżali, np. Jaroszewiczowi podczas audiencji u króla w 1977 roku.

Który z ówczesnych polskich polityków był najbardziej przystępny?

– Muszę powiedzieć, że Jaruzelski.

Nie pomyślałabym. Przejdźmy do słownika. Czym Wielki słownik norwesko-polski się wyróżnia? I co jest w nim wyjątkowego?

– Jest to słownik przygotowany w dużej mierze w oparciu o koncepcję Walerego Bierkowa. Był to wybitny leksykograf, który opracował wielki słownik rosyjsko-norweski. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1987 w Związku Sowieckim.

Mój słownik z założenia ma uwzględniać potrzeby obu grup użytkowników, Polaków i Norwegów. I dlatego mówi zarówno o wymowie norweskiej jak i polskiej. Większość Polaków ma trudności w rozróżnieniu tonemów norweskich. A nawet, jeśli je rozróżniają, to często nie używają ich we właściwy sposób. Jednak z drugiej strony można zrozumiale mówić po norwesku bez tej wiedzy i wielu Polaków tak robi. Uważam jednak, że warto o tym informować, choćby z tego względu, aby uświadomić, że dla Norwega jest to różnica. Słownik uwzględnia również kwestię, gdzie przebiega granica w złożeniach między elementami złożeń, ponieważ to odgrywa rolę dla wymowy. Np. to, że *iste* (herbata mrożona) jest złożeniem składającym się z

elementów *is* (lód) i *te* (herbata), sprawia, że *e* końcowe wymawia się tak jak *e* w *te*, podczas gdy w *iste* (czas przeszły od czasownika *ise*) *e* ulega osłabieniu i realizowane jest jako tak zwane szwa, czyli niewyraźne *e*. Dla Norwega różnica jest wyraźna. Inna kwestia to iloczas samogłosek. W *ledning* (przewód) *e* jest długie, a w *redning* (ratowanie, ratunek) jest krótkie i należy tej różnicy przestrzegać.

Mogę powiedzieć, że nie ma innego słownika polsko-norweskiego, który tak szczegółowo informuje o norweskiej wymowie.

Jeśli chodzi o gramatykę, to staram się obszernie informować o różnych odmianach stylistycznych. Zadbałem też o to, aby łatwo było znaleźć, to, co po angielsku nazywa się *phrasal verbs*. Oczywiście jest duże podobieństwo między językami skandynawskimi a angielskim. Na przykład przy czasowniku *slå* jest bardzo dużo czasowników frazowych. Starałem się też informować, jak należy oddać pewne norweskie konstrukcje. Na przykład, gdy mamy *tytuł powieści* lub *prezes towarzystwa* po polsku, to jak oddać te dopełniacze? Można powiedzieć *romanens tittel* i *foreningens formann*, ale można powiedzieć też *tittelen på romanen* i *formannen i foreningen*. To ostatnie jest obecnie bardziej popularne i częściej używane, mimo że takie zastępowanie dopełniacza różnymi przyimkami raczej komplikuje język.

A co sprawia lub może sprawiać największe trudności Norwegom uczącym się języka polskiego?

– Język polski i norweski są pod wieloma względami różne. Z jednej strony język polski ma bardzo skomplikowaną morfologię, obfitującą w różne wyjątki i nieprawidłowe formy, które sprawiają oczywiście problemy norweskim studentom języka polskiego, ale z drugiej strony, kiedy prowadziłem na uniwersytecie kurs języka polskiego, to pocieszałem początkujących tym, że pod jednym względem język polski jest szalenie prosty, mianowicie pod względem wymowy. Co może zdziwić wielu ludzi, ponieważ, gdy przygląda się polskiemu językowi w postaci drukowanej wygląda on dość skomplikowanie, te wszystkie *sz, cz, rż, ż*..., głoski szeleszczące itd. Ale jeżeli student potrafi opanować reguły polskiej wymowy, to zawsze można wywnioskować jak się dane słowo wymawia. Są bardzo nieliczne odstępstwa, takie jak *marznąć*, *piętnaście*. Język polski ma idealnie prostą prozodię, bo akcent prawie zawsze spoczywa na przedostatniej sylabie. Nie ma również różnicy między głoskami długimi i krótkimi, nie ma również tonemów. I dlatego w moim słowniku w niewielkim stopniu muszę informować o polskiej wymowie.

Każdy język się rozwija: zmieniają się normy językowe, formy gramatyczne, pojawiają się nowe słowa, inne wychodzą z użycia. Zmiany języka to dylemat, przed którym

staje każdy twórca słownika. Czy pański słownik uwzględnia ten nowy obraz języka?

– Pracowałem nad tym słownikiem ponad dwadzieścia lat, ale w porównaniu z czasem tworzenia innych dużych słowników jest to niewiele. Na przykład Akademia Szwedzka wydaje słownik, który jeszcze nie doszedł do ostatniej litery, nad którym pracuje już ponad sto lat. I wtedy te problemy stają się odczuwalne. Jeśli chodzi o mój słownik, to pomagał mi Gunnar Arneson, który dołączył w roku 2008; wspólnie opracowaliśmy kilka liter. Starałem się uwzględnić zmiany języka. Na przykład czytając prasę polską i norweską często robiłem notatki z myślą właśnie o słowniku. Przygotowałem nawet nowe wydanie, które mam nadzieję będzie miało okazję się ukazać. Jest tam prawie 400 nowych haseł.

Czy łatwo dokonać zmian w tak dużym słowniku? Czy wymaga to dużych nakładów technicznych?

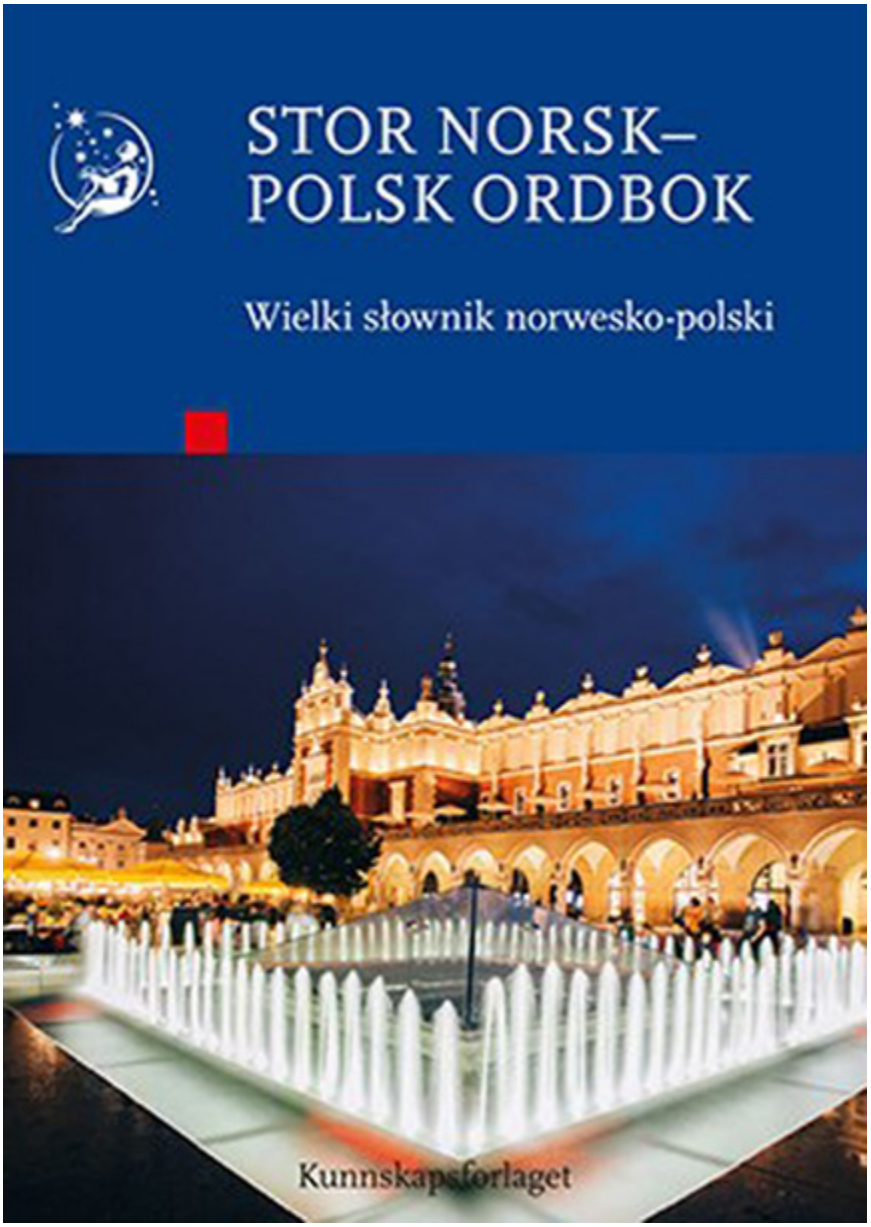
– Dokonanie zmian jest rzeczą łatwą i prostą, ponieważ słownik powstał w programie TeX. Łatwo wprowadzać w nim zmiany, dodać nowe hasła, edytować go, można również słownik wydrukować w wielu wersjach, nie zmieniając niczego w podstawowych plikach. Na przykład, gdybym chciał mógłbym wypuścić wersję dla Polaków, w której byłoby mniej lub żadnych informacji o polskiej odmianie. Tak samo można wydać również

wersję dla Norwegów, w której pomija się wszystkie informacje o wymowie norweskiej.

Pański słownik obejmuje bokmål. Jednak jak wiadomo w Norwegii funkcjonują również inne odmiany języka nynorsk, riksmål i dialekty. Czy słownik uwzględnia w jakimś stopniu te odmiany języka?

– Uwzględnia do pewnego stopnia, ale nie w pełni, bo byłoby to niemożliwe. Istnieją słowniki, w których próbowano to uwzględnić, ale moim zdaniem były one nieudane, np. jak pierwszy słownik norwesko-angielski. Jakkolwiek nie uwzględniam tego, to wprowadzam trochę haseł gwarowych, które są uwzględnione w większym stopniu niż w innych współczesnych słownikach. Ale są to słowa i formy dosyć rozpowszechnione, które pojawiają się w języku pisanym. Sytuacja językowa tutaj jest o wiele mniej wyklarowana niż sytuacja w Polsce, co stwarza trudności dla leksykografa, opracowującego słownik.

W Polsce właściwie nie ulega wątpliwości jaka jest norma. Choć oczywiście istnieją formy oboczne i można dyskutować czy mówić *Norwedzy* czy *Norwegowie*.



Mówiliśmy o różnicach, a co jest wspólne dla obu języków?

– Wpływ języka angielskiego. Zapożyczenia angielskie mają łatwiejszy dostęp do norweskiego, ponieważ języki te są podobne. Umożliwia to upodobnianie angielskich wyrażeń do norweskich. Podczas, gdy w języku polskim jest to trudniejsze. W słowniku oczywiście trzeba uwzględniać nowe słowa, również angielskie, nawet, jeśli nie zawsze są to słowa, które leksykograf

chciałby umieścić w słowniku. Ale język jest taki, jaki jest. Uwzględniłem również słowa z dziedziny technologii komputerowej, bo też jest to coś, co należy do nowoczesności.

W mojej pracy często poszukuję znaczenia słów z dziedziny religii i Kościoła. I przyznam, że w słownikach, z których korzystałam do tej pory brakuje takich pojęć. Czy w Pana słowniku je znajdę?

– Tak, są tu pojęcia związane z Kościołem katolickim. Przykładem może być słowo *ferming*, czyli bierzmowanie. Słowo to nie jest używane w Kościele protestanckim. Pojawia się również ciekawe słowo *retrett*, które w Kościele katolickim oznacza rekolekcje. Natomiast protestanci używają w tym samym znaczeniu słowa angielskiego *retreat*.

Myślę, że nie ma drugiego takiego słownika norwesko-polskiego, który by się tak szczegółowo rozwodził nad znaczeniem tego rodzaju słów.

Jest Pan też znakomitym tłumaczem, tłumaczył pan wiersze polskich poetów, Szymborskiej, Herberta i Różewicza. A także *Dolinę Issy* Miłosza. Ciekawi mnie, którego z polskich poetów lubi i ceni pan najbardziej?

– Tłumaczenie wszystkich tych trzech poetów sprawiało mi

przyjemność, zwłaszcza Herberta. Wyzwaniem była dla mnie *Dolina Issy*, właśnie ze względu na swoją specyfikę. Jeśli nie mielibyśmy się ograniczać do pisarzy polskojęzycznych, to muszę powiedzieć, że cenię austriackiego pisarza Roberta Musila, tłumaczyłem jego *Człowieka bez właściwości*. To bardzo inteligentny autor i przepracowany tekst, bo swoje rzeczy przepisywał dziewięć, dziesięć razy. Ale pani pytanie jest trudne, bo to jest trochę tak, jakby pani chciała zapytać ojca lub matkę, które dziecko kochasz najbardziej.

Rzeczywiście, powinnam zadać inne pytanie: czy jest jakiś autor, którego chciałby pan przetłumaczyć?

– Trudno mi powiedzieć, bo przez ostatnie lata tkwiłem w leksykografii i w ograniczony sposób śledziłem, to, co się dzieje w literaturze polskiej. Ale pojawiają się nowi tłumacze i bardzo mnie to cieszy, że polska literatura jest nadal tłumaczona i istnieje zainteresowanie polską literaturą.

Ole Michael Selberg (ur. 1938) – norweski tłumacz i leksykograf. Przetłumaczył na język norweski między innymi poezję Herberta, Szymborskiej i Różewicza oraz *Dolinę Issy* Miłosza. I 1983 otrzymał Bastianprisen (nagrodę

> Stowarzyszenia Norweskich Tłumaczy) za tłumaczenie sztuki Tadeusza Różewicza Białe małżeństwo.

> **TeX** – komputerowy system profesjonalnego składu drukarskiego, obejmuje on zarówno specjalny język jak i kompilator przygotowujący pliki w formatach wymaganych przez urządzenia graficzne. Program jest używany do składania tekstów naukowych. Jego twórcą jest amerykański matematyk i informatyk Donald E. Knuth.

Wywiad pochodzi ze strony:

http://www.katolsk.no/

http://www.katolsk.no/nyheter/2018/03/z-milosci-do-jezyka--wywiad-z-ole-michaelem-selbergiem

---

Jan Goczoł. Wiersze.



Wychodźstwo

I

> Popatrz przed siebie: pójdziemy przez śnieg, przez ten gips
>
> sypki i przychylny mrozom:
>
> gdzie pole jest szerokie i uciszone, jakby już przeczuwało

beton, gdzie zwęglone ptaki

rdzę z suchej krtani zamiast gwizdu; gdzie w lasach

jedynie dzięcioł piły.

Pójdzie też z nami pies z twarzą ciemną, bo wygasłą,

przy ziemi…

Więc powtarzam: pójdzie z nami pies odwiązany z szczekania;

i pójdzie jeszcze kot,

bo jakże to zarzewie ciepła zostawić w domu

opuszczonym?

A z sobą weź topór: to narzędzie bliskie jest dłoni i starczy

za wszystkie. W nim zapewnienie

więźby, a także szczap, które ogrzewają w czas wypoczynku. Tam

drzewa są dosłowne

– bez pychy (dla której nogi całować gotowi bliźniemu) ale i

poddaństwu obce –

więc weź ze sobą mocny topór. To już wszystko.

II

Nie odwracaj się: tam gorze miasto słów, które odpadły od znaczenia,

jak mięso odpada od kości;

tam miarą echo.

***

Pojedziemy tutaj – drogą białą od kamieni wapiennych

i twardą, bo ciężkim koniom ją zbudowano, wozom i traktorom;

pojedziemy do bliskiego horyzontu pagórka, gdzie nagle

ziemia się powtórzy równiną rozległą;

tutaj są nasze pola, które co roku orzemy wzdłuż i w poprzek

od widnokręgu do widnokręgu, jak od nadziei do nadziei;

tu zbudowaliśmy domy z wiary w trwałość kamieni i czerwonych dachów,

tu wschodzą miłości nasze i tutaj zachodzą;

niewzruszeni, od lat tak dawnych, że wszystko, co dalej

już nie jest ważne, w rosie przedsłonecznej stoimy

i w rosie wieczornej,

nie słowa siejąc, lecz zaciętość ziaren;

tak tu stoimy – milczący uparcie rzece krzyczącej, która nas opływa.

Niedziela na wsi

W niedzielę wracam do Rozmierzy: to ziarenko gorczycy

na mapie w skali 1:2 000 000,

3o kilometrów na południowy wschód od Opola.

Gdzie kończy się obce: te ostatnie tysiąc metrów mojej drogi; tutaj idę już pieszo: od kamienia stajowego do kamienia – jak od paciorka różańca do paciorka – tajemnica radosna, tajemnica bolesna, tajemnica chwalebna. Asfalt popękał jak spierzchnięte wargi.

A tam już krzesło przysuwają do naszego stołu mądrości i dobroci. Źle wyglądasz – mówią to miastowe powietrze ci nie nie służy, czy co? To kobiety –

odpowiadam ja –

biegnące z głośnym płaczem przez wysokie żyta

spać mi nie dają.

* * *

Nie wybierajcie się w odwiedziny do rodzinnych wiosek:

pytania, które położą przed wami obok talerza

z kurzym udkiem, będą nie do przełknięcia.

Nawet alkohol niewiele tu pomoże na te ranę

po chłopskim rozumie. Wielosłowie się w niej zalęgło

przywleczone skądciś. Żywotniejsze nad stonkę.

U nas, w Rozmierzy

Jesteśmy starym lasem. O tym, co pod ziemią

i o powietrzu tej okolicy, wiemy

wszystko.

Myszy naszych lęków. Borsuki milczenia.

Mrowiska naszej pracy. Wiemy, gdzie żerują,

jakimi szczute są psami, jakimi okrążane

tropicielami.

Oko Boże widzi, ucho Pana słyszy

być może więcej. Na przykład nasze dawne czasy,

naszą pamiętliwość.

Wieś moja, żółw

Rozmierz jest to żółw siedemsetletni.

Z roku na rok po kroku uszła cało

Panom, wójtom i plebanom.

> Rozmierz milczy, tak jak milczy zwierzę
>
> Cierpliwe. Spod ciężkiej powieki patrzy
>
> Oko, co się napatrzyło wiele więcej
>
> Nikczemności.
>
>
>
> Z rzadka, ale przecież, żółw ten mówi. Coś,
>
> Być może, niezwykłego. Coś, być może,
>
> Czego lepiej nie usłyszeć.

Wspomnienie o zmarłym w lutym 2018 roku poecie ukaże się w czwartek, 21 maja 2018 r.



Jan Goczoł urodził się 13 maja 1934 r. w Rozmierzy, zmarł 22 lutego 2018 r. w Opolu. Polski polityk i poeta, w latach 1985–1991 poseł na Sejm IX i X kadencji. Prezes oddziału Związku Literatów Polskich w Opolu.

Jan Goczoł na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/poeta-innego-czasu-jan-goczol/

Wystawa malarstwa Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej w Domu Polonii w Krakowie

Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej (1939-1989) – Polish Artists of the World zaprasza na wystawę prac Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej, artystki tworzącej w Londynie, zmarłej w 2011 r. Wystawę można zobaczyć od 12 kwietnia do 6 maja 2018 roku w Domu Polonii w Krakowie. Jak poinformowała prezes Fundacji, pani Henryka Milczanowska, Fundacja stała się beneficjantem kolekcji obrazów Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej. Zbiór liczący ok. 160 obrazów przekazała siostrzenica artystki Kris Havard. Wszedł on w skład wciąż poszerzanej kolekcji sztuki polskich artystów żyjących na emigracji. Po Krakowie, wystawa malarstwa Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej będzie pokazana w kilku innych galeriach w kraju.

Zofia Kobylińska-Olszewska urodziła się w Warszawie i tu przeżyła początek wojny. Wraz z rodziną trafiła do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, a później do Ravensbrück. Po wyzwoleniu, okaleczona fizycznie i psychicznie, w ciężkim stanie trafiła pod opiekę medyczną brytyjskiej filantropki Sue Ryder. Rozpoczęła nowe życie w Anglii od studiów w Polskiej Szkole Malarstwa pod kierunkiem Mariana Bohusza Szyszko.

Jej malarstwo, zakorzenione w przedwojennej tradycji kolorystów, posiada głęboką warstwę emocjonalną. Artystka tworzyła dużo i do końca swojego życia, traktując malarstwo jako formę terapeutycznej edukacji, jedynej możliwości zapomnienia o czasach wojny.

Organizatorzy wystawy:

POLISH ARTISTS IN THE WORLD
Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989

STOWARZYSZENIE „WSPÓLNOTA POLSKA"



Pejzaż, płótno, olej

ZOFIA KOBYLIŃSKA - OLSZEWSKA

wystawa malarstwa

12.04. 2018 - 06.05. 2018 / Galeria Dom Polonii, Kraków



Zofia Kobylińska-Olszewska

Polska malarka urodzona w Warszawie, działająca na emigracji w Anglii. W czasie wojny była więźniarką w niemieckich obozach koncentracyjnych, kolejno w Oświęcimiu i Ravensbrück. Po wyzwoleniu przez wojska alianckie obozu w Ravensbrück przedostała się do Paryża, a następnie do Rzymu. Stamtąd, wraz z innymi Polakami, wyjechała do Londynu.

W 1947 roku została rezydentką w Anglii i zamieszkała w Londynie. Studiowała w Polskiej Szkole Malarstwa, pod opieką profesora Mariana Bohusza Szyszki. W 1964 roku otrzymała dyplom Studium Malarstwa Sztalugowego i Grafiki Użytkowej i rozpoczęła własną drogę twórczą, z licznymi sukcesami wystawienniczymi.

Zofia Kobylińska-Olszewska zmarła w 2011 roku, pozostawiając w testamencie kolekcję swoich obrazów najbliższej rodzinie, w osobie Krystyny Havard. Obrazy Artystki znajdują się także w prywatnych kolekcjach w Austrii, Niemczech, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Włoszech, Polsce i USA.

Obecna wystawa Galerii Dom Polonii w Krakowie prezentuje część kolekcji rodzinnej, przekazanej w 2017 roku w darze Fundacji Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989.

Fundacja Polskiej Sztuki Emigracyjnej 1939-1989
oraz Stowarzyszenie „Wspólnota Polska”,
Galeria Dom Polonii w Krakowie

mają zaszczyt zaprosić na

WERNISAŻ MALARSTWA

ZOFII KOBYLIŃSKIEJ-OLSZEWSKIEJ

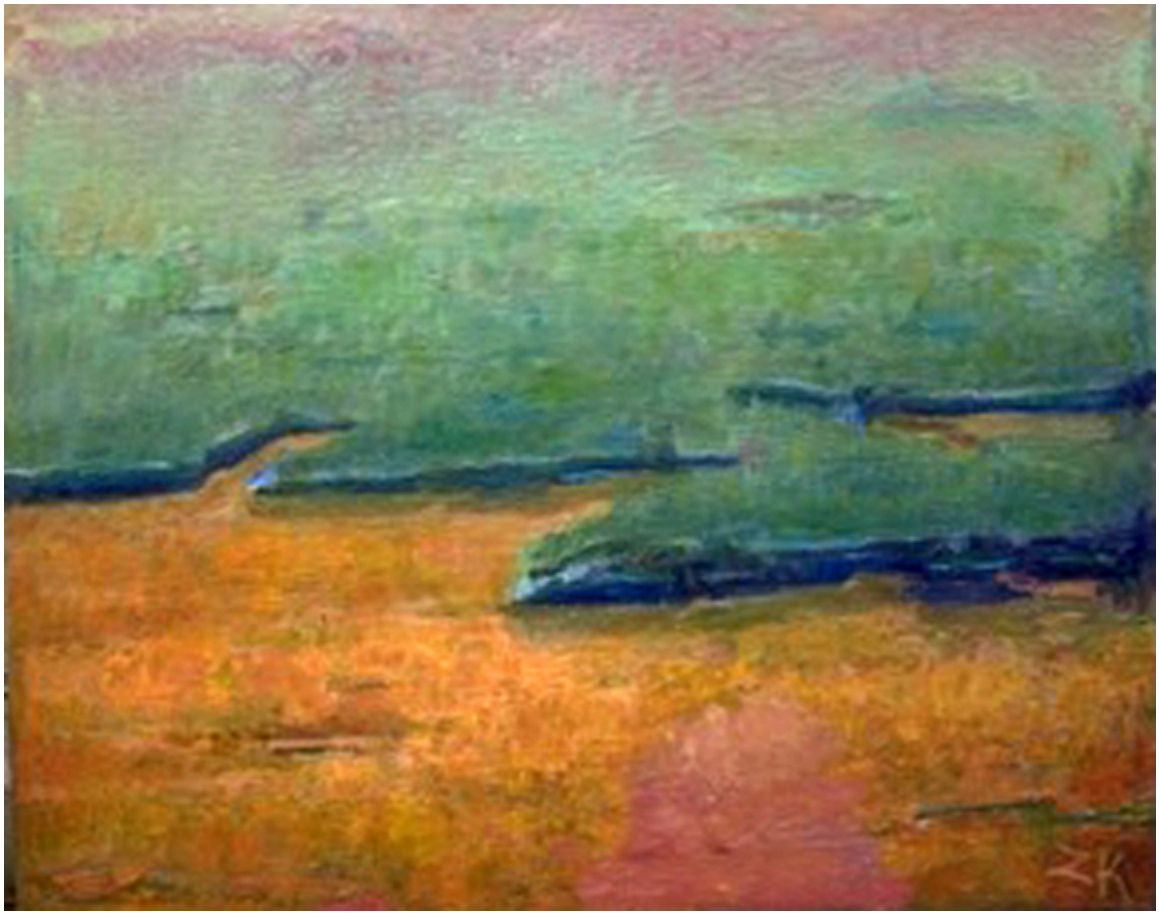
12 kwietnia 2018 r. (czwartek) godz. 18.00
Galeria Dom Polonii w Krakowie
ul. Rynek 14



Dom Polonii w Krakowie, Rynek Główny 14.

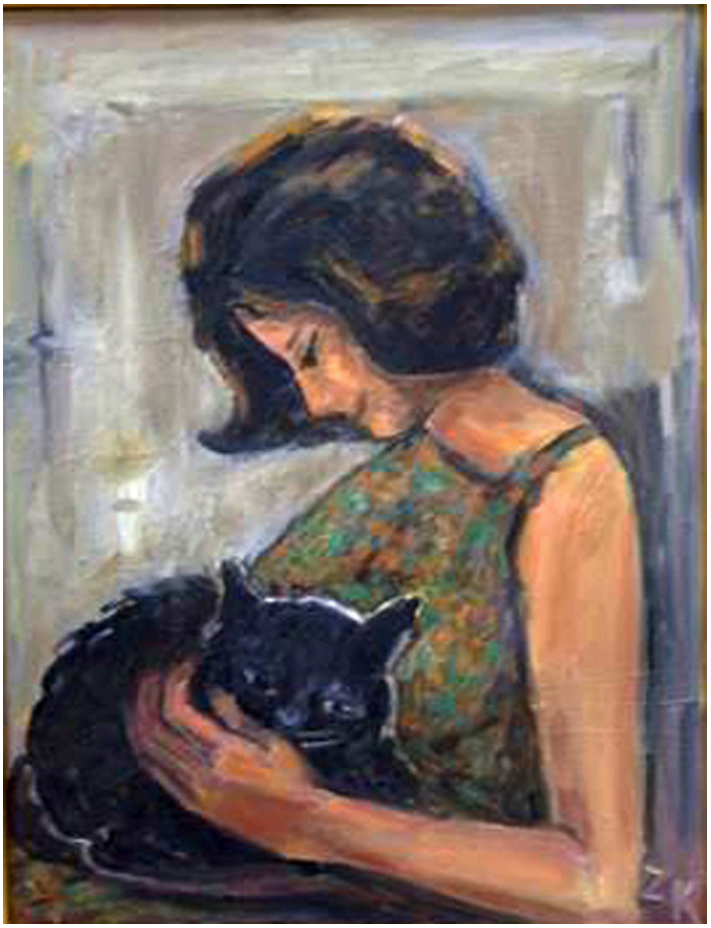
Malarstwo Zofii Kobylińskiej-Olszewskiej















Nieśmiały na Parnasie: Augusto

Monterroso (1921-2003).



Augusto Monterroso (1921-2003).

Florian Śmieja

Jeszcze w Anglii miałem okazję uczestniczyć w pierwszych spotkaniach z pisarzami, którzy nagle stali się bohaterami mody

na literaturę latynoską, bo zaczęła święcić niespodziewane triumfy. Przypominam sobie przylot z ambasady w Paryżu do Londynu Chilijczyka **Jorge Edwardsa**, by wespół z młodym **Vargas Llosą** rozpowiadać cuda o dynamicznej nowej powieści zza oceanu. Kiedy przedstawiłem się jako Polak **Borgesowi** z matką objeżdżającemu Europę, ten przywitał mnie słowem „chleb", które sobie skądś zapamiętał. Potem pojechałem specjalnie do ambasady kubańskiej, by posłuchać **Alejo Carpentiera**. Niestety, słynny pisarz został zobligowany do wygłoszenia pochwały Fidela Castro. Pamiętam jeszcze, jak biegali za nim potulni sprawozdawcy z Europy Wschodniej, z przedstawicielem Instytutu Polskiego na czele. Później, na konferencji w Miami poznałem guru nowego zjawiska powieści latynoskiej, **Emira Monegala**.

Mieszkającego na emigracji w Meksyku pisarza gwatemalskiego spotkałem na zjeździe pisarzy Ameryki Łacińskiej, na uniwersytecie kanadyjskim w Windsor, w roku 1972. Był wtedy z nami m.in. **Vicente Leñero**, **Bryce-Echenique**, **Arturo Azuela**, **Salvador Elizondo**, **Manuel Puig** oraz **Augusto Monterroso**, zwany **Tito –** łysiejący mężczyzna w wieku średnim, niewysoki i jowialny, wyglądał na beniaminka słynnej falangi pisarzy, którzy w połowie dwudziestego wieku stworzyli wysoką falę powieści latynoskiej. Rozlała się ona potem po świecie, wywołując podziw i powszechne uznanie.

Chilijski pisarz i krytyk, autor “Osobistej historii boomu” zajął się tym szczególnym rozkwitem prozy Ameryki Łacińskiej, koncentrując się na nazwiskach najgłośniejszych, ale nie pomijając innych pisarzy, wśród nich **Augusta Monterroso**.

Ten Gwatemalczyk urodzony w 1921 roku w stolicy sąsiedniego Hondurasu, Tegucigalpie, okazał się bystrym samoukiem i zawziętym czytelnikiem. Wczesne zainteresowanie literaturą łączył z polityczną aktywnością narażając się na ustawiczne zderzenia z władzami, z dyktatorami i ludźmi na usługach USA, a w szczególności potężnej *United Fruit Company*. Po upadku Arévalo i Arbenza salwował się ucieczką na emigrację i osiadł na stałe w 1944 roku w Meksyku, gdzie mieszkał aż do śmierci w 2003 roku. Zmarł na atak serca w Mexico City. Tu wydał pierwsze książki i znalazł zatrudnienie jako pedagog na Narodowym Uniwersytecie Meksykańskim. Zapewne do najszczęśliwszych chwil jego życia należało doczekanie się po pięćdziesięciu latach wojny domowej rozejmu i ugody między rządem Gwatemali a przywództwem popularnej partyzantki.

W roku 1959 wydał niewielki objętością tom prozy pod niezwykłym tytułem „Dzieła wszystkie (i inne opowiadania)”. Był to zbiór bajek zdradzających już cechy charakterystyczne, które odtąd miały znamionować styl twórczości **Monterroso**: prostotę prozy, przystępność z tendencją do parodii. Swoje bajki i narracje pełne absurdu, paradoksu, pisał językiem klarownym i

zaprawiał czarnym humorem.

Pisarz rzadko publikujący dopiero w roku 1969 wydał “Czarną owcę i inne opowieści”. **Garcia Marquez** ostrzegał:

> Tę książkę trzeba czytać z rękami podniesionymi do góry: jej niebezpieczeństwo polega na skrytej mądrości i śmiercionośnej urodzie braku powagi.

W 1972 wydał “Pepetuum mobile”, potem “Reszta jest milczeniem” i “Żywot Eduarda Torresa” oraz “Podróż do wnętrza bajki”.

Miro la literatura como un juego – Literatura jest dla mnie grą, mówi prowokująco **Monterroso**, dobrze wiedzący, że jego koledzy byli mocno zaangażowani jako pisarze. Jego zdaniem, literatura upolityczniona pierwsza idzie w zapomnienie. W jego twórczości zauważamy, że powoli zaniknął w niej komentarz polityczny i społeczny. Otwarcie głosił, że jedynym obowiązkiem pisarza jest niepublikowanie podrzędnych utworów. Jedna z jego słynnych przypowieści, być może aluzja do renomowanego meksykańskiego pisarza **Juana Rulfo**, to historia o mądrym lisie, który broni się przed opublikowaniem chałtury i wychodzi zwycięsko z presji ogółu, by wydał tekst nie na poziomie.

Monterroso przedkładał myślenie nad pisanie, jego umysł usiłował stwarzać, choć zdawał sobie jasno sprawę, że wymyślał jedynie to, co już zostało wymyślone. Dlatego zanotuje, że pisanie jest czynnością zbędną, bo wszystko już zostało powiedziane:

> jedynie ignorancja każe nam odczuwać, że jesteśmy zdolni powiedzieć coś ważkiego, czego nie powiedziano dotąd lepiej.

Jeśli więc nie totalne milczenie, to daleko posunięta wstrzemięźliwość, zwięzłość, a to wymaga wyrafinowania i subtelności. **Monterroso** lubił parodie. Znakomicie potrafił naśladować zadęty, napuszony styl akademicki, koturnowy sposób mówienia krytyków literackich czy badaczy naukowych.

Mimo nadzwyczaj starannego obchodzenia się z językiem nie pisał pod krytyków, chciał być powszechnie czytany, choć nie zabiegał o względy jakiejś szczególnej warstwy społecznej. Gdyby szukać filiacji jego typu pisania, to trzeba by wymienić **Borgesa**. Niełatwo zakwalifikować ich twórczości. U obu daje się zauważyć nuta pesymizmu.

Monterroso lubował się w eksperymentowaniu gatunkami, które nie weszły do struktury współczesnej powieści. Pisał więc

bajki inaczej. Zachował niektóre tradycyjne elementy, inne przemieniał i odwracał. Często w ten sposób tworzył zlepy rafinowanego humoru, wnikliwości, złej wiary. Ponieważ jego zdaniem moralizowanie jest właściwie bezskuteczne, nie należy szukać u niego morału.

> Osiem jego bajek czy opowiastek wydrukowałem w 1974 roku w Londynie w kwartalniku "Oficyna Poetów". Opatrzyłem je następującym komentarzem:
>
> Jego opowiadania i bajeczki są wielowarstwowe i inteligentne, traktują o słabościach i ambicjach ludzkich z olimpijskim pobłażaniem. Satyra złagodzona jest dobrodusznym spojrzeniem, a to co zdało się być zabawne i zaciekawiające, zdolne jest poruszyć intymne strony, wzruszyć i zaniepokoić nagłym zwrotem i niespodziewaną aluzją.
>
> Oto jedna z jego opowiastek zatytułowana „Samson i Filistyni":
>
> Był pewnego razu zwierz, który chciał się zmierzyć z Samsonem. Nie możecie sobie nawet wyobrazić, co się z nim stało. Ale wiecie też, jak później powiodło się Samsonowi z Delilą sprzymierzoną z Filistynami.

> Jeżeli chcesz zwyciężyć Samsona, połącz się z Filistynami. Jeżeli chcesz zwyciężyć Dalilę. połącz się z Filistynami.
>
> Zawsze łącz się z Filistynami.

Dwa lata później w przekładzie Marii Sten oraz Andrzeja Sobol-Jurczykowskiego wyszedł w Wydawnictwie Literackim w Krakowie wybór opowiadań **Monterroso** pod tytułem "Mr. Taylor i inni".

Na zjeździe pisarzy w Windsor, **Monterroso** przekornie kajał się przed swoimi towarzyszami, że wśród nich, pilnych pracowników pióra, czuł się jak Judasz. W odróżnieniu od nich nie pisze, ale poprawia. Nie jest ani powieściopisarzem, co najwyżej autorem opowiadań, żyjącym w ciągłym strachu, że mu odejdzie czytelnik, któremu pisarz serwuje niepotrzebne, zbędne części tekstu, Dlatego postanowił kultywować krótkie formy pisarstwa: aforyzm, bajkę, nowelę, esej. A wszystko to przy pomocy bardzo oszczędnego języka. Swoją ekonomię podkreśla z zachwytem:

> Dzisiaj mam dobre samopoczucie, jestem Balzakiem. Oto kończę ten wers.

W podobnym duchu napisał uwagę:

> Każdą literacką pracę należy ciągle poprawiać i skracać. *„Nulla die sine linea”.* Każdego dnia anuluj jedną linijkę.

Jak osiąga swoją zwięzłość? Skreślając:

> Trzy skreślone linijki są więcej warte od jednej dodanej.

Bo zwięzłość jest elegancją, a ozdoby i powtórzenia ani nią nie są, ani są potrzebne. To Cezar, jego zdaniem, wymyślił telegraf donosząc “veni, vidi, vici”.

Nic więc dziwnego, że od początku zainteresowały go bardzo aforyzmy Leca, które mu zacytowałem. (Sam zresztą również pisał aforyzmy, jak chociażby “Nawet aplauz głupca miły jest mędrcowi”). **Monterroso** był wprawdzie raz w Warszawie, gdzie spotkał się z będącym tam na placówce dyplomatycznej meksykańskim pisarzem **Sergio Pitolem**, w towarzystwie **Juana Rulfo** i **Julio Cortazara,** ale o Lecu nie słyszał, jak sam później napisał w dodatku “Sabado” do dziennika “Unomasuno” z 10 września 1984 roku. W tym też artykule, który mi dziś służy jako *aide-memoire*, wspomniał nasze poznanie w Windsor oraz kolejne spotkania w Meksyku, na uniwersytecie, w jego domu i w 1983 na wystawie książki. Jego książki z dedykacjami dla mnie

przypominają, oprócz 1972 roku, także lata 1982 i 1984. We wzmiankowanym artykule dziwuje się, że zabiegałem o rozsławienie aforyzmów Leca, nazywając moją akcję rzadką posługą, której w meksykańskiej sytuacji pisarzy nie doświadcza wcale. (Właściwie to już w madryckim miesięczniku w 1966 roku udało mi się wydrukować kolumnę myśli Leca pod tytułem "Polonesa no brillante").

Przypomina w tych fragmentach pamiętnika, że na moją prośbę umieścił wybór "Myśli nieuczesanych" w moim przekładzie w piśmie "Creación y Critica", a także, że w czasie oglądania wystawy książek w 1983 roku zasugerował, by mały wybór aforyzmów Leca spróbować wydać właśnie w serii tekstów lektury Wydawnictwa Uniwersyteckiego. Rzeczywiście, udałem się, z pomocą **Monterroso**, do nich i przełożywszy 395 wybranych myśli pod tytułem "Pensamientos desmelenados" posłałem do wydawnictwa opatrzywszy je krótkim wstępem oraz dowcipną jednostronicową autobiografią Leca. **Monterroso** przedrukował kilka moich stwierdzeń i całą wypowiedź Leca, która mu się bardzo spodobała. Była to równocześnie pierwsza reklama zapowiadająca przyszłą książeczkę. Ozdobiona akwarelą Juliusza Studnickiego "Arcydiabeł" ukazała się w nakładzie czterech tysięcy egzemplarzy w roku 1985 i rozeszła się błyskawicznie.

Monterroso zasłynął z dowcipnych uwag o pisaniu. I tak

młodemu poecie poradził, by nie rozdawał swoich tomików, ale sam je zniszczył Dowodził, że pisarzowi wystarcza jedynie pióro i papier, że pisanie jest manią, sposobem zwracania na siebie uwagi, a więc zaspakajaniem próżności. Bodźcem bywa oglądanie swojego nazwiska w gazecie, co wywołuje zawsze czyjąś zawiść. Pisać trzeba w skromności i na marginesie właściwego zawodu. Uważa też, że próbować żyć z pisania kłóci się z dobrą tradycją humanistyczną.

Do oryginalności **Monterroso** nie przywiązuje wielkiej wagi. Wszystkich piszących uważa za złodziei, z tym, że w jego opinii, niektórzy robią to bardziej subtelnie, zaś ci, co nie kradną, należą, jego zdaniem, do najlichszych pisarzy.

Pisaniu pomaga przebywanie za granicą, gdyż ludzie znający się od urodzenia, nie wierzą w wyjątkowość czy talent znanych sobie ludzi. Jego zdaniem, pisarz stacza pierwsze boje ze swoimi rodakami, a kolejne z przyjaciółmi. Łatwo natomiast jest kontestować władze, a nawet stawianie się okoniem rządzącym może być pomyślną strategią, gdyż jeśli nie powiedzie się nam jako pisarzom, to możemy winę zwalić na rządzących. Dywersję i swoje oryginalne znamię znajdziemy natomiast w każdym dobrym dziele. Notoryczności zdobytej przez rewolucje, pieśni protestu czy np. schlebianie muzyce pop przez stateczne radiostacje, zupełnie nie poważa.

Spytany o odpowiedzialność społeczną odpowiada, że należy ona do wszystkich. Pisarz jest artystą, a nie reformatorem. Tłumaczy, że proste wiersze Kubańczyka **Jose Martiego** są dziełem pisarza. Kiedy natomiast **Marti** chciał działać jako polityk, wziął karabin, przeprawił się przez Morze Karaibskie, dosiadł konia i zginął pięknie w pierwszej bitwie. Wiedział zawsze, co robi.

Jedynym zadaniem pisarza to pisać na poziomie, bez względu na to, czy ma pieniądze, czy nie, czy ma czytelników, czy jest żonaty, czy jest dziewicą czy męczennikiem, partyzantem czy policjantem, piromanem czy strażakiem. Sytuacja ekonomiczna, powiada, nie ma nic do rzeczy. Milionerzy książek nie piszą (a w Meksyku, także nie czytają, dopowiada).

Mieszkając w ciepłej strefie globu zredukował całą tematykę twórczości do trzech zagadnień: miłości, śmierci i much. Klucz do wielu kłopotów z egzystencją widzi w humorze. Uważa go za realizm doprowadzony do końca. Zauważa, że człowiek jest niezadowolony z bycia najgłupszym spośród stworzenia, więc nadto jeszcze pragnie być jedynym śmiesznym.

To wszystkie dywagacje zapewne sprawiły, że **José Donoso** do szczupłej grupy pisarzy odpowiedzialnych za powstanie wielkiej podaży na literaturę Ameryki Łacińskiej zalicza również **Augusta Monterroso**, a **Carlos Rincón** mówiąc o prawdziwej retorcie doświadczalnej prozy latynoskiej powołał się m.in. na

eksperymentowanie **Monterroso**.

_____

Stanisław Jerzy Lec na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/hece-z-lecem-1909-1966/